# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VI. Warszawa, dnia 18 Kwietnia 1914 roku № 16.

Andrzej Strug.

16

## „Pieniądz".

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

Powieść z obcego życia.

I czego chcą, czemu wiecznie grożą? Czyż nie wiedzą, że żelazne prawa ekonomiczne, które ustanowił sam Bóg, rządzą ludźmi, zarówno bogatymi, jak nędzarzami? Że wyłamać się z pod ich władzy niepodobna, jak z pod władzy praw natury i Boga, który, choć niewidzialny, wie jednak o wszystkiem i o wszystkich pamięta? Czyż na świecie mało pracy dla wszystkich uczciwych a biednych ludzi?

— Panowie! Czyż nie widzicie, co się dzieje?! Brońcie nas, przecie jesteście mężczyznami!...

Stary Slazenger z trudem obrócił swoją grubą szyję, rozejrzał się wokoło i roześmiał się szeroko.

— Niech się pogapią. Co ci to szkodzi, piękna pani?

— Ależ oni krzyczą, oblegają nas! Ja się boję...

— Nie słyszała pani chyba prawdziwego krzyku. Ot, bawią się po swojemu. My sobie, a oni sobie.

— W każdym razie, to w najwyższym stopniu niestosowne — odezwał się młody margrabia. — I nieprzyjemne.

— O, niestosowne! To ludzie prości. A na takie nieprzyjemności u nas się nie zważa. Zawiele by z tem było roboty. Zazdroszczą nam, złorzeczą — to zupełnie naturalne.

— Chodźmy już stąd! Mariette, uciekajmy! Nie mogę na to patrzeć... Tacy wszyscy dzicy, czarni...

— Włochy to są, droga pani. Boś to ich u nas mało widziała? Wszędzie ich pełno po twoich kopalniach.

— Nie, u mnie podobno pracują polacy.

— No, już ja lepiej wiem.

— O, tamten się ze mnie śmieje! Ach! Język mi pokazał... Straszne!

— Ha, ha, ha...

— Który to? — porwał się Lytton syn. — Ja mu tu zaraz pokażę.

— Chodźmy, Billy, — rzekł ojciec, zaciskając potężne pięści.

Margrabia struchlał. Te brutale wywołają jakąś straszną awanturę. Rozdrażniony tłum może ich zmasakrować. I nigdzie policyi!...

— Siadajcie-no! — nakazał Slazenger. — Nie boksujcie poczciwych ludzi! Zachowajcie siły na Jungfrau.

— Racya, ojcze. Jeżeli jutro zaczynamy, musimy być w zupełnej kondycyi.

— Jutro, Billy. Boks by nas wytrącił z treningu. Pani zapewne nie wie, — zwrócił się do lady Hartley— że każdy sport ma trening zupełnie odrębny?

— Nie wiedziałam o tem, ale sądzę, że powinniśmy wszyscy umykać, póki jeszcze czas.

— Ha, ha, ha... — śmiał się grubo Slazenger.

Widząc jednak naokoło prawdziwe mrowie ludzkie, rozgniewał się niespodzianie, nie na tłum, z którego nic sobie nie robił, ale na Johna.

Dopuścił do zbiegowiska, które denerwuje damy, a nadewszystko niema go pod ręką. Niesłychane!

— John!

Kilkoro służby, którzy stanęli przed nim, mieli miny wystraszone.

— John!

Dopiero dowiedziano się o wzięciu do niewoli Johna i innych. Slazenger poczerwieniał i zakasłał się ze śmiechu.

— Bravo! Bravo!!! — klaskał w tłuste dłonie. — Niech go włosi rozszarpią na kawałki! Nic nie wart!

— Jednak — zauważył margrabia — nie należałoby może puścić płazem takiego zuchwalstwa. Ja biorę bardzo do serca obrazę mojego służącego. Bądź co bądź, jest to mój człowiek.

— Niech sobie radzi, kanalia. Wie pan, co on mi znowu wczoraj urządził...

— Ależ, panowie! Ich tam biją! — zawołała lady Hartley.

Rzeczywiście wśród tłumu rozległy się wrzaski, gwizdanie, śmiechy. Kilku z panów wstało z miejsc, żeby lepiej widzieć.

Ci ze służby, którzy ocaleli, błagali nader energicznie Lyttonów o pomoc. Ale Slazenger nie pozwalał i śmiał się ciągle.

Wreszcie miss Lucy wstała i postanowiła działać.

— Ja ich zaraz wyzwolę!

Przysunęła sobie ze stołu kosz z owocami i zaczęła z rozmachem puszczać w tłum gruszki, jabłka, morele, granaty, wielkie „grape fruits", banany.

Zakotłowało się w czarnej masie. Tłum chwiał się, rozrywał, zwracał się tam, gdzie padały owoce. Setki rąk wyciągały się, żeby chwycić zdobycz w powietrzu. Wydzierano sobie owoce wśród niezmiernego śmiechu i gwałtu.

Istotnie, Lucy nie wyczerpała jeszcze pół kosza, kiedy z zamętu wyłonił się John, na czele reszty jeńców.

Powitano ich owacyjnie. John wstydził się, a widząc, że pan się z niego naigrawa, udał wielce obrażonego — pan to w nim lubił. Lucy wciąż ciskała owocami na wszystkie strony. Wzniesiono toast na cześć dzielnej „wybawicielki uciśnionych".

— Co za przytomność umysłu! unosiła się margrabina.

— Bravo! energia anglo-saska!— wołał w ekstazie stary margrabia.

— Ta determinacya i odwaga czyni pani zaszczyt — rzekł, patrząc jej w oczy, młody margrabia. I pocałował ją w rękę po raz pierwszy.

— Odwaga? — szydziła Lucy— Przecie ja wiem, że to tylko bydło!

Zabawę przerwał brzęk tłuczonego szkła: Przewróciła się para bu-

telek, prysnęły okruchy z cienkich szklanek. Na sam środek stołu padło celnie odrzucone z tłumu wielkie jabłko i, uczyniwszy spustoszenie wśród zastawy, odbiło się i wytrąciło komuś z ręki kieliszek z szampanem.

Lady Hartley omało nie zemdlała. Rzuciła się na szyję Mariette i dygotała ze strachu. Lytton ojciec, nie zważając na obecność dam, zaklął szpetnie, syn poprawił jeszcze okropniej. Król miedzi już się nie śmiał.

Panowie Doodley i Powell wzburzeni, bełkotali coś wśród ogólnego milczenia. Wreszcie i oni zamilkli. Przez długą chwilę coś ponurego zaciążyło nad świetnem towarzystwem. Jakgdyby każdemu objawiła się jakaś zjawa - zmora i szepnęła swoje złe słowo, każdemu inaczej — a to samo.

Służba spiesznie podawała okrycia, inni pobiegli na stacyę, gdzie czekał specyalny pociąg. Reszta pospiesznie sprzątała ze stołu, pakowała naczynia i sprzęty, zwijano namiot i sztandar.

Towarzystwo rozglądało się po okolicznych szczytach, których dzikie nazwy Lyttonowie wymieniali na wyścigi. Dopiero teraz spostrzeżono, że i tutaj jest dość malowniczo.

Wśród rozpraszającego się tłumu robotników uwijali się inżynierowie i urzędnicy budowy. Ciągnęło wszystko leniwie w dół ku barakom, czerniły się setki postaci po rozległem zielonem zboczu.

Policyanci sprowadzali kogoś szybko w dół.

— Widziałeś?

— Ludzie są, jak i my wszyscy.

— Tyś myślał, że będą mieli rogi na głowach ? Albo, że w złotych koronach? Że każdemu tam na trawie zaraz tron podstawią? Nie bądź głupi! Każdy ma nos i uszy, każdy je, pije. ..... I już.

— To oni... oni...

— Ci sami. Już lepszych na kuli ziemskiej nie zobaczysz. Królowie świata! Ci prawdziwi, nie ci, co w gorąco paradują w gronostajowych futrach, w których siedzą stare móle z przed tysiąca lat. Co cesarz niemiecki przy takim Szlazengerze!..

— Oni...

— A właśnie! Bardzo się oni nas boją... Hołota przeklęta, wieczni niewolnicy... Jak psom, ciskała! Ganiali po polu za pańskim ogryzkiem! Wiesz, za co wzięli tamtych dwóch? Do krwi pobili się o gruszkę. Biliby się do tej pory, gdyby nie policyanci. Ha, ha, ha...

— A tyś z tego rad?

— Śmieję się.

— To nie zabawne. Tyż jesteś robotnik!

— Ja się śmieję z tych mądrych, co już wszystko rozumieją, którzy wiedzą naprzód, co będzie za tysiąc lat. Będzie na świecie pięknie! Już tak będzie ślicznie, że nic, ino na te dobre czasy czekać, a cicho siedzieć i wszystko grzecznie ścierpieć.

— Wiecznie swoje! Wścieklizna cię dusi. Nie wściekli świat odmienią, a mądrzy.

— Na kiedyż zmądrzeją te wszystkie, co się bili o pańską gruszkę? Poczekacie...

— Co rok jest lepiej i jaśniej. Co rok, co dzień i co godzina.

— To tak, jakby kto chciał konewką morze wyczerpać. A ty się radujesz, że się stara, że wartko nosi. Po sto konewek na dzień! Wielka robota! Taka jest wasza mądrość!

— A waszym by się chciało z piątku na sobotę odrobić i przerobić wszystko, co się budowało przez tysiące lat? Patrz na nasz tunel. Wielka góra, a uwziął się człowiek. Uwziął się i dokona! Ale rozumem, nauką, ale tysiącami ramion, ale latami mądrej pracy!

— Dynamitem tyż...

— Ah, dynamit! Coraz mniej na świecie głupich, co jeszcze wierzą w proszek. Stara to apteka. Krew trzeba w ludzkości odnowić...

— Upuścić jej a dobrze...

— ...Odżywić podłe cielsko, nowego ducha tchnąć.

— Tyś górnik, powiedz, ile tyż nabojów wysadziliście tu w tej skale przez cały czas robót?

— Bo ja wiem? Z jaki milion...

— Dobrze, milion. To z tamtej strony drugie tyle. A teraz powiedz, bracie, tylko nie zełżyj. Jakby się znalazł taki, coby te dwa miliony ładunków wystrzelił nie w głupią skałę a tak — w świat! Szeroko, szeroko, wszędzie...

— W kogóżbyś bił? Czy i w naszych tyż?

— Poczekaj. Ostałoby się na świecie bestyalstwo pieniądza? Nie zbudziłyby te grzmoty wszystkich śpiących? Nie ruszyłoby się pokorne bydło robocze? I wasi by na tę chwilę naprawdę zmądrzeli. Odpowiedz!

— To jest głupstwo wymyślone, którego nigdy w życiu nie będzie. Cóż ci na to odpowiedzieć? Bajka i tyle.

— Nie kręć. Wasi ludzie nigdy poprostu nie odpowiedzą. Ilem to razy tych twoich mówców na wiecach do muru przyciskał. Nigdy żaden nie odpowiedział uczciwie a poprostu tak, żeby człowiek nieuczony zrozumiał. Ale tyś robotnik — ty mi nie gadaj o „ewolucyi", tylko odpowiadaj, o co pytają!

— Dobrze. W kogóżbyś bił?

— Jakto, w kogo? Prosta rzecz, że w takich, jak ci, co tam w górze stoją. I w tych i w innych. W tych, co im służą i pomagają. W tych, co się z nimi bawią. W całe gniazdo robactwa... Bo to ich brak?

— Lubisz bajki.

— Naucz-no tej bajki ludzi, a stanie się prawdą. Wygarnij z miliona mózgów waszą socyalistyczną mądrość, a włóż-no tę bajkę... Świat zapłonie i odrodzi się!

— Zapóźno, bracie! Świadomego człowieka już do bajek nie napędzisz. Proletaryat — to już nie dziecko, a mąż dojrzały. Zapóźno, na szczęście.

— Przekleństwo! A ty się dziwisz, że nasi was nienawidzą. Wrogi we własnej rodzinie... Ej, puszczałbym ja dynamitem i w was.

— Szczerze!

— Szczerze. Zawadzacie nam. Wy jedni stoicie między nami a zbawieniem świata. Trza się przez was przebijać, jak przez tę górę.

— Nie przebijecie.

— Ejże!...

— Gadanie i tyle. Na pyski to wy jesteście mocne.

— To wasze pyskacze we wszystkich głowach poprzewracali! Parlamentarzyści, ministrowie, partyjne milionery, zdrajce sprawy robotniczej!... Co się świat rozpędzi, to oni go zahamują. A bogatego szanują... A przed każdym bankiem czapkę każą zdejmować, jak przed kościołem, bo to ma być wasze... A największych zdzierców świata oszczędzają, jak świętość, — że to oni dla was te pieniądze zbierają... Czekajcie, barany, aż się wam wasza bajka wyśni. Ha, ha, ha...

— Wy chcecie się mścić na tym bogatym, tego bogatego mordować... A socyalizm zabija pieniądz i jego przeklętą władzę! Ślepy, który tego nie widzi. Tak będzie!

— Ha, ha, ha...

„Niemy" szedł obok i obojętnie, piąte przez dziesiąte przysłuchiwał się dyskusyi kolegów, którą znał od początku do końca. Słyszał ją więcej, niż sto razy i tutaj i wsędzie. Po fabrykach i kopalniach szerokiego świata, we Włoszech, we Francyi, w Ameryce, wszędzie, gdzie go los przerzucał, słyszał te same kłótnie. Ta sama była wieczna zwada i zajadłość. Na wielkich zgromadzeniach ludowych, w knajpach, w wiecznych rozmowach po barakach robotniczych, w pismach i odezwach, w mózgach i w sercach.

„Niemy" bywał tu i tam. I tu i tam był kiedyś zażartym bojownikiem. Wierzył jednym i dałby się za nich porąbać. Aż kiedyś uwierzył w tamtą religię i fanatycznie zwalczał wczorajszych towarzyszy.

A teraz wiedział, że mają słuszność i ci i tamci. Zrozumiał to do samej głębi — i pozostał samotny, sam ze sobą . Po wielu błąkaniach znalazł jakieś swoje, dla siebie przeznaczone miejsce. Nie mieszał się już do sporów i do zbiorowego działania. Było to może dla świata potrzebne, ale nie dla niego. On miał własną ideę i własną robotę.

Dojrzał i pożegnał dawniejsze czasy. Uśmiechał się za niemi, jak za dzieciństwem.

Kiedyś miotał się, walczył, pracował. W niezmordowanej, fanatycznej agitacyi wyrzucił ze siebie tyle zażartości, wiary, ukochania i nienawiści i tyle słów, że od kilku lat nie mówił prawie nic. Przezywano go Mrukiem, Milczkiem, Niemową. Tak

nań wołano w najrozmaitszych językach i gwarach wszędzie, gdzie bywał.

A nosiła go po świecie, jak wicher, trawiąca ciekawość i gorączka wiecznego niepokoju. Nigdzie długo nie popasał.

Długie lata spędził w koczowniczem życiu. Co parę miesięcy znikał niespodziewanie z fabryki, gdzie pracował. Nikt tego nie zauważał, bo z nikim się nie przyjaźnił. Był zdolnym monterem, kochał maszynę, zarabiał dużo. Nie zatrzymał go jednak na miejscu najświetniejszy zarobek. Pewnego dnia ruszał w świat, jakby na niego ktoś zawołał.

Ów ktoś wskazywał mu, dokąd ma jechać, jechał do południowej Afryki, do Indyi, do Ameryki, na Syberyę...

Pracował przy panamskim przekopie, w Szanghaju, po wszystkich stolicach Europy.

W ostatnich czasach wybierał się do Australii, gdzie nie był jeszcze, i gromadził na podróż zarobione pieniądze.

— Niemy, gadaj, kto ma racyę?

— Akurat się od niego słowa doczekasz. O czym ty tak wciąż myślisz, towarzyszu?

— Myślę, że obaj macie racyę.

— Jakże to?

— A tak.

— Więc co dalej? Gadaj?

— Ano, kłóćcie cię dalej.

— Roztwórz ino trochę geby. Nie żałuj dla kolegów tej odrobiny mądrości. Znają cię tu. Nie taki ty był w Medyolanie, w rewolucyę. Pamiętasz?

— Gadania już mam dość.

— A co mamy robić? Wiesz?

— Wiem. Co sobie chcecie.

— To czemu nie poradzisz, jeżeli wiesz?

— Ja wiem dla siebie.

— To z kimże trzymasz na tę porę? Mów wyraźnie.

— Ze sobą jednym.

— Wiesz co, Niemy, ja ciebie lubię. Jednego tylko w tobie nie lubię, to tego uśmiechu. Nie drwij z ludzi! Jeszcześ ty nie najmądrzejszy...

— Wiem, że jeszcze nie.

— A kiedy będziesz najmądrzejszy?

— Najmądrzejszy to ten, który nic nie mówi, a czyni.

— Ale co?

— To, co trzeba.

— No, to niech cię dyabli biorą. Chodźmy, towarzyszu, nie przeszkadzajmy mędrcowi. A jabłkoś fajnie odcisnął! Tyś się jeden ze wszystkich postawił.

„Niemy" przystanął, zapalił fajkę i usiadł sobie na kamieniu. Rad był, że się od niego odczepili.

Jak tylko odeszli ludzie, przygarnęła go do siebie samotność, jak matka rodzona. Pogrążył się w cichości swoich myśli.

Wpatrzył się w swój tajemny świat, zawarty przed wszystkimi. Tam zawsze, o każdej porze, kiedy zachciał, kiedy spojrzał, rozgrywało się odwieczne, nigdy nie wyczerpane misteryum życia.

Jego dziwy wyłaniały się z szarości powszedniego dnia, czekały nań w najgłębszych czeluściach, kiedy zapuszczał się pracowitą myślą, wybuchały niespodziewanie i olśniewały nowością.

Z rozkoszą i ze zgrozą czytał z księgi tajemnej. Karta za kartą roztwierały się przed nim. Od wielu lat odczytuje żywe pismo, od wielu lat gromadzi się w nim wiedza prawdziwa. Bez końca trwa księga, bez dna jest życie. Jeno zawsze w nim ta sama nienasycona, namiętna żądza poznawania spraw ludzkich, poznania gołej prawdy.

Daleko ona? Już blizko?

Chwilami odczuwał jej straszliwą blizkość. Chwytał go dreszcz uniesienia, jakgdyby w jego dziwnych losach nadchodził moment ostateczny, niecofniony i, jak śmierć, wyższy nad wszystko.

Zdawało się, że ta rzecz niewiadoma — owa, jak ją nazywał, „prawda życia", zażąda od niego najwyższej ofiary.

Teraz patrzył na góry.

Lubił wpatrywać się w piękny, zawsze dziwny świat. Lubił bezbrzeżne morze, gładkie, burzliwe, zmienne, lubił rozpasaną w ogniu słońca puszczę podzwrotnikową, i śniegiem okryte stepy Syberyi i nieskończone, jak morze zielone, bagna Florydy. Lubił beznadziejną ponurość wielkich przemysłowych stolic nowego świata. Czarną krainę węgla, jej wieczne dymy, setki kominów i czarne martwe hałdy, góry sypane przez pokolenia. Lubił się wpatrywać w ogrom Londynu, we wspaniałość i piękno Paryża. Jego oczy kochały się w tem, co wielkie.

Godzinami spoczywał nieruchomy, przykuty do obrazów ziemi. Wówczas znikali ludzie i ich sprawy — jednak w głębi siebie, w nieświadomem utajeniu, myślał o nich zawsze.

Teraz patrzył na góry. Tuż przed nim, powyżej, na łagodnem, trawiastem zboczu stali — oni. Grupa ludzi rysowała się wyraźnie na tle nieba. Zdawali się być wielcy, nadzwyczajni. Gineli jednak w przepięknym ogromie tego, co ogarniały jego oczy.

Jednak o nich to właśnie rozmyślał w owej chwili.

DCN.

---

*ZOFIA MIZERSKA.*

## *Toga Cezara.*

*Jak posąg stałeś w tłumie, Juliuszu Cezarze!*
*Z Galii i z wyspy Brytów — aż do murów Romy*
*Padał cień twej postaci, cień ostry, ruchomy,*
*Rzucając mrok na dumne senatorów twarze.*

*Lecz stokroć większym byłeś, niźli w bitew gwarze,*
*Wówczas, gdy tłum spiskowców, krwi twojej łakomy,*
*Sztylety w pierś twą wbijał.—Zamiast przekleństw gromy*
*Rzucać na głowy wrogów, — tyś milczał, Cezarze!*

*Gdy zobaczyłeś nagle twarz Brutusa w tłumie...*
*— I ty, Brutusie?! — rzekłeś tylko. — I bez drżenia,*
*Kryjąc oblicze togą, milknąc w bolu dumie,*

*Cichy, posępny, wszedłeś do krainy cienia,*
*W majestacie boleści, co jęczeć nie umie...*
*Krwawa togo Cezara! Symbolu milczenia!*

*WŁ. J. BRODZIKOWSKI.*

## *Madame de Walewice.*

*Do stóp mu zwyciężone padały sztandary,*
*Znaczone krwi stygmatem i w złotej kurzawie*
*Pochodów wykąpane... Szedł ufnie ku sławie*
*Ziem zdobywca, bóg wojny, cezar nad cezary!*

*W bitw pyle, śród balowej salonów poświaty*
*Nikt mu nie stawił czoła. Tyś jedna, o, biała,*
*Piękna pani z Walewic w jasyr go zabrała,*
*I oczyma rzewnemi, jak mdlejące kwiaty,*

*Zgasiłaś go. Olśniony twej piękności łuną,*
*Pod zwycięskiemi łuki brwi twych klęcząc w skrusze,*
*U tronu stóp twych złożył uczuć złote runo — —*

*A potem w bitw szalonych krwawej zawierusze*
*Zapomniał spełnić rozkaz twój ów wódz zuchwały,*
*Bo spętanego orła przykuto do skały.*

Hall Caine.

# Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

16

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział XXXV.

Obeznałam się już do tyla z Londynem, by wiedzieć, że moje w domu robione suknie nie są wyrazem mody, pomimo to, gdym się w najładniejszą z nich ubrałam, a szyję i włosy przystroiłam sznurami pereł, uczułam, że mój mąż i jego przyjaciele nie będą potrzebowali wstydzić się za mnie.

Było nas sześcioro, w tem z kobiet tylko ja jedna, i zajęliśmy dużą lożę na pierwszem piętrze blizko sceny, co sprawiło, że, ku memu wielkiemu zakłopotaniu, wszystkie lornetki zwróciły się w naszą stronę.

Nie powiem, żeby teatr wywarł na mnie jakieś nadzwyczajne wrażenie. Ani sala, choć cała kapiąca od złota, bo kościoły, które widywałam w Rzymie, były w moich oczach o wiele wspanialsze, ani publiczność, choć nigdy dotąd nie widziałam tak wykwintnego i strojnego zgromadzenia; ani aktorzy; ani nadewszystko sama sztuka, która wydała mi się stekiem brudu i nieprzyzwoitości.

Było jednak coś, co mnie wysoce zainteresowało, a to, primadonna. Gdy weszła na scenę, uśmiechnięta, śliczna, gibka i pełna wdzięku w każdem poruszeniu, sprawiła na mnie wrażenie czegoś zjawiskowego. Ale gdy po pewnym czasie na jej twarzy zagrała nienawiść, złość, zazdrość, wydała mi się nietylko brzydką, lecz wprost wstrętna.

Mimo to, musiała być ulubienicą publiczności, bo samo jej ukazanie się wywołało burzę oklasków, któremi zresztą obdarzano ją co chwila, chociaż głos miała nieszczególny.

Widząc to, a przytem zauważywszy, że i nasza loża szczególnie się nią zainteresowała, zaczęłam tak że śmiać się i klaskać, zgodnie z mojem postanowieniem przystosowania się do upodobań mego męża, ale w duszy wcale mi wesoło nie było.

Trwało to z jakąś godzinę, gdy stała się rzecz dziwna. Wychyliłam się właśnie z loży, śmiejąc się i klaszcząc, gdy aktorka odwróciła się i zaczęła iść przez scenę w kierunku naszej loży, wpatrując się we mnie wyzywająco.

Zrazu myślałam, że mi się tylko tak zdaje, lecz nagle, nie wiem, skąd błysnęła mi myśl, że to jest właśnie ta, z którą mój mąż miał się żenić, ta, której miejsce zajęłam, i od której musiał listy swoje wykupić.

Ogarnęło mnie takie poczucie wstydu i oburzenia, że niezdolna udawać dłużej wesołości, siedziałam ze spuszczonemi oczyma, jak na mękach, prosząc tylko Boga, by się to jaknajprędzej skończyło.

Zapadła wreszcie kurtyna, lecz zaledwie wsiedliśmy do powozu, mąż mój wybuchnął śmiechem.

— A to było paradne, na honor! — powtarzał. — Nigdy w życiu tak się nie ubawiłem.

Przyjechawszy do hotelu, kazał przynieść na górę butelkę wina, wciąż ogromnie rozweselony, a widząc, że kieruję się prosto do mojej sypialni, zaczął nalegać, bym została w saloniku, bo ma mi coś do powiedzenia.

Usadowił mnie na fotelu, zapalił cygaretkę i rzekł:

— Wyobraź sobie, że to była Lena. Ta w pąsowej sukni i brylantowym naszyjniku. Musiała się domyśleć, kto ty jesteś. Widziałaś, jak patrzała na ciebie? Wyobraziła sobie zapewne, żem cię przyprowadził z umysłu, aby ją pognębić.

Wybuchnął znowu śmiechem i mówił dalej:

— Bo widzisz, ona rozpowiadała wszędzie, że ożeniłem się z jakiemś starem czupiradłem dla pieniędzy, a gdy zobaczyła, że jesteś od niej i młodsza i ładniejsza, to omal nie pękła ze złości.

I znowu zaniósł się od śmiechu.

— A i ty także! Śmiałaś się i klaskałaś, a ona to brała za drwiny. Nie! to była istna heca, na mój honor! Dziwię się, że czemś na ciebie nie cisnęła. To do niej podobne.

Lokaj przyniósł wino. Mąż mój nalał i dla mnie.

— Napij się. Nie chcesz? No, to ja wypiję twoje zdrowie... bo to warto, doprawdy... A wiesz, co ona jeszcze mówiła? Mówiła, że jeszcze do niej wrócę. „Nie minie pół roku, a będzie skamlał u moich drzwi“ powiedziała do Eastcliffa i paru innych z klubu. Ciekawym, czy teraz jeszcze tak myśli?... ciekawym...

Odrzucił cygaretkę, wypił drugą szklankę wina i przysunąwszy się do mnie, rzekł zniżonym głosem, od którego krew ścierpła mi w żyłach:

— Czy się jej słowa sprawdzą, czy nie, to będzie zależało od ciebie.

— Odemnie?

— A oczywiście. Można mieć najlepsze chęci w świecie, ale człowiek jest tylko człowiekiem.

Usta zadrżały mi z gniewu; chciałam wstać, ale on przytrzymał mnie i sam usiadł na poręczy fotela.

— Nie odchodź jeszcze. Ale, ale. Nie podziękowałem ci za te śliczne kwiaty, któremi ubrałaś mi dziś pokój. Bardzo to było ładnie z twojej strony, lecz ja wiedziałem, że prędko do tego dojdzie.

— Co dojdzie do czego? — zapytałam nieswoim głosem.

— No, wiesz przecie. To też, gdy ten poczciwy księżyna zaproponował mi ten śmieszny układ, zgodziłem się, wiedząc, że to długo nie potrwa, i że nie ja go pierwszy zerwę. Naturalnie. Mężczyzna może sobie pozwolić na czekanie. Ale byłem pewny, że tobie się to wprędce sprzykrzy. No i zgadłem, prawda? Och, nie jestem ślepy, widziałem dobrze, co się święci, chociaż nic nie mówiłem.

Znów chciałam powstać i znów mąż mój przytrzymał mnie, mówiąc:

— Nie wstydź się. Niema czego. Źle się ze mną obeszłaś, to prawda, ale ja chętnie o tem zapomnę, jeśli moja śliczna żoneczka wybije sobie z głowy klasztorne androny i nie każe mi pościć w dalszym ciągu. Prawda, że nie każe?

Zdawało mi się, że umrę ze wstydu i poniżenia. Więc taki był rezultat moich usiłowań; takie znaczenie jego gruboskórna natura przypisywała mym serdecznym zabiegom w celu wytworzenia pomiędzy nami jakiegoś serdecznego węzła?

Łzy nabiegły mi do oczu, lecz stłumiłam je siłą i wstałam, nie zważając na jego opór.

— Proszę mnie puścić — rzekłam. — Chcę iść spać.

— Ależ dobrze, moja droga, pójdziesz spać, tylko...

— Proszę mnie puścić — powtórzyłam i odtrąciwszy go, wbiegłam do mego pokoju.

Nie pokusił się iść za mną. Został w miejscu, jakby przygwożdżony zdumieniem i wściekłością.

— Nie rozumiem cię — wykrzyknął po chwili. — I niech mnie dyabli porwą, jeżeli znajdzie się taki, który cię zrozumie.

Poczem wszedł do swojej sypialni, trzasnąwszy drzwiami.

A ja, łamiąc ręce rozpaczliwie, mówiłam sobie, że wszystko to na nic, że nie potrafię nigdy pokochać mego męża.

Rozdział XXXVI.

Niech ci, którzy lepiej odemnie potrafią czytać w tajnikach kobiecego serca, zrozumieją, jakim sposobem doszłam do przekonania, że, jeżeli pozostaniemy dłużej w Londynie, mąż mój wróci do tamtej, i dlaczego (skoro go nie kochałam) zapragnęłam oddalić go conajprędzej od tej pokusy.

Niemniej tak było, i zaraz nazajutrz napisałam do ojca, prosząc go, by wpłynął na mego męża o przyspieszenie naszej wycieczki do Egiptu, przyczem nadmieniłam, że Londyn mi nie służy.

Ojciec odpisał mi niezwłocznie. Nie wiem, co wyczytał między liniami mego listu; odpowiedź zaś jego brzmiała:

„Kochana córko. Bardzo dobrze! Piszę do zięcia, żebyście wyjeżdżali z Londynu bezzwłocznie. Już i tak zadługo tam siedzicie. A w podróży nie żałuj sobie niczego i nie oglądaj się na żadne koszty, bo tam, gdzie chodzi o pieniądze, trzeba, żebyś była zawsze górą“.

Twój etc.

List do mego męża odniósł na-

tychmiastowy skutek. W trzy dni popłynęliśmy do Marsylii, by zdążyć na statek, mający nas zabrać do Port Saidu.

Kajuty nasze znajdowały się na górnym pokładzie i przedzielone były korytarzem. To pozwalało nam prowadzić zupełnie odrębny tryb życia, co zresztą wyszło mi na dobre, bo mąż mój, domyśliwszy się widocznie, że to ja wpłynęłam na przyśpieszenie wyjazdu z Londynu, był w jak najgorszym humorze i wcale ze mną nie rozmawiał.

Spędzał czas przeważnie w swojej kajucie, zrzędząc na steward'a, dokuczając swemu lokajowi, bijąc jamnika i przeklinając tę głupią podróż.

Przepaść pomiędzy nami pogłębiała się z dniem każdym. Zaczynałam już żałować, że wywiozłam mego męża ze środowiska, w którem przynajmniej życie z nim było jako tako znośne, gdy spotkała mnie niespodziewana przyjemność.

Jadaliśmy przy stole doktora; zaś doktór sam był to młody dwudziestoczteroletni irlandczyk, wesoły i sympatyczny.

Usłyszawszy, że pochodzę z Ellanu, zapytał mnie, czy nie znam Jerzego Conrada.

— Jerzego Conrada? — powtórzyłam, czując, że się czerwienię po same białka.

— Tak, Jura Conrada, jakeśmy go nazywali. Tego, który przyłączył się, jako doktór, do wyprawy do Bieguna Południowego.

Wspomnienia dzieciństwa zalały mi dusze fala dziwnej rzewności i odpowiedziałam zmienionym głosem:

— To był mój najlepszy i jedyny przyjaciel.

Młodemu doktorowi błysnęły oczy; miał taką minę, jakgdyby chciał rzucić łyżkę i chwycić mnie za ręce.

Pokazało się, że kolegowali z Jurkiem na uniwersytecie w Dublinie, mieszkając razem i razem sposobiąc się do egzaminów.

— Więc pani zna Jurka! To dopiero! Jak się to czasem dziwnie na świecie składa!

I zaczął rozpływać się nad nim w słowach tak gorących i pełnych zachwytu, jakiemi tylko młodość umie malować swe uczucia. Według niego, nikt nie mógł równać się z Jurkiem. Była to najszlachetniejsza natura, najwierniejszy przyjaciel, najodważniejszy i najdzielniejszy z ludzi.

Słuchałam tych pochwał, niby muzyki jakiejś, pierś falowała mi nadmiarem jakichś błogich, niepojętych uczuć, a oczy zapłynęły łzami.

Nie wiem, jak mąż mój wytłómaczył sobie to moje wzruszenie, którego zresztą ukryć nie mogłam, lecz twarz mu sposępniała, a na zapytanie doktora, czy zna Jurka, także, odpowiedział szorstko:

— Nie znam i myślę, że nic na tem nie straciłem.

— Ach, milordzie! — wykrzyknął młody doktór z zapałem. — Pokaż mi człowieka, który by mu dorównał, a pójdę pieszo na kraj świata, aby go zobaczyć.

Po tej rozmowie humor mego męża jeszcze się pogorszył, a ja czułam się dziwnie bezbronną wobec jego dąsów i kaprysów, gdy zaszedł wypadek, który go jakby przeobraził.

Trzeciego dnia żeglugi w jasny, cichy poranek zawinęliśmy do brzegów Malty. Mąż mój popłynął na brzeg, a ja siedziałam na pokładzie, przyglądając się portowemu życiu i wielkim wojennym okrętom, stojącym na kotwicy.

Maltańska handlarka kręciła się wśród pasażerów, sprzedając pamiątki z wyspy. Gdy podeszła do mnie ze swoją tacką, wybrałam jakąś koralową, dziwacznego kształtu drobnostkę, pytając, co by to było.

— To talizman, mylady, — odpowiedziała kobieta.

— Talizman, czego?

— Miłości męża, mylady.

Zaczerwieniłam się. Kupiłam jednak talizman i machinalnie wsunęłam go do torebki, gdy spostrzegłam, że jedna ze świeżo przybyłych pasażerek przypatruje mi się uważnie.

Była to wysoka, bardzo piękna kobieta, wytwornie, a nawet, jak na parowcowa tualetę, za wspaniale ubrana. Widok jej obudził we mnie jakieś mętne wspomnienia, lecz nim się w nich zdążyłam zoryentować, piękna pani przystąpiła do mnie i rzekła:

— Wszak Mary O'Neill, jeśli się nie mylę?

Po głosie poznałam ją natychmiast. To była Alma Lier. Mogła mieć wtedy około dwudziestu siedmiu lat i była w całym rozkwicie swej dojrzałej piękności. Przepyszne, bursztynowe włosy ocieniały jej szerokie, nizkie czoło, podnosząc blask ogromnych, czarnych oczu, patrzących w ten sam dziwnie przenikliwy sposób, który wywarł tak silne wrażenie na mojej dziecięcej wyobraźni. Był w tem spojrzeniu jakiś istotnie nieprzepartу urok.

Po pierwszych powitaniach usiadła przy mnie i miękkim, nieco sztucznie słodkim głosem zaczęła mi opowiadać swoje dzieje.

Nie były one wesołe. Po wyjściu z klasztoru, przebyła lat parę w Ameryce, bawiąc się i zawracając głowy, ale ponieważ ułożyła sobie, że wyjdzie tylko za europejczyka, więc pojechały z matką na „stary ląd" i tu, objeżdżając różne stolice, poznała w Berlinie na jakimś filantropijnym balu młodego rosyjskiego księcia, o którym mówiono, że jest bogaty i spokrewniony z najwyższą arystokracyą swego kraju. Ojciec Almy (sprytny, amerykański bankier) sprzeciwiał się bardzo temu małżeństwu: ona jednak postawiła na swojem i poszła za księcia.

Ale cóż się pokazało? Książę był zwykłym oszustem, bez tytułu i majątku; Alma wszelako nie upadła na duchu. Czerpiąc z ojcowskiej kieszeni, pozyskała rozwód z mniemanym księciem i, wróciwszy do panieńskiego nazwiska, używała swobody, jako pani Lier, podróżując i bawiąc się. Teraz właśnie była w drodze do Kairu.

— A ty? — zapytała z kolei. — Byłaś długo w klasztorze, prawda?

I, nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej:

— Wiem, że poszłaś za mąż. I tak świetnie w dodatku! Szczęśliwa z ciebie kobieta! Wszyscy mówią, że mąż twój taki piękny i miły. Czy tak?

Byłam w kłopocie, co na to rzec, by zbytnio nie rozminąć się z prawdą, ani też nie zdradzić istotnego stanu rzeczy, gdy mąż mój ukazał się na pokładzie.

Już miał mnie minąć w milczeniu, jak to było jego zwyczajem, gdy spostrzegł siedzącą przy mnie Almę. Zatrzymał się, popatrzył na nas i rzekł głosem, jakiego dotąd u niego nie słyszałam:

— Mary, kochanie, zechciej mnie przedstawić twojej przyjaciółce.

Zawahałam się, poczem drżącemi usty spełniłam jego życzenie.

Lecz gdym ich zapoznawała, a oni stali, patrząc sobie w oczy i trzymając się za ręce, coś mi szepnęło, iż stało się coś nadzwyczaj ważnego, i że, na złe czy na dobre, godzina mego przeznaczenia wybiła.

## Rozdział XXXVII.

Od tej chwili mąż mój stał się jakby innym człowiekiem. Zmienił się nawet w obejściu ze mną. Co rano pukał do mojej kajuty, pytając, niemal serdecznie, czy dobrze spałam, czy jestem zdrowa, czy mi czego nie trzeba.

Co się tyczy Almy, to nie odstępował jej prawie. Co rano przed śniadaniem byli już oboje na pokładzie i przechadzali się, rozmawiając z ożywieniem, a wesoły ich śmiech dolatywał aż do mnie. Czasem zaglądali do mojej kajuty, a Alma pytała żartobliwie:

— Jakże się dziś nasza Maryjka miewa?

Zmieniliśmy również miejsca w salonie i siedzieliśmy wraz z Almą przy stole kapitana, a choć brak mi było towarzystwa doktora i jego opowiadań o Jurku, nie mogłam pozostać obojętna na towarzyski wdzięk i dowcip Almy. Pokazało się, że mają mnóstwo wspólnych znajomych z moim mężem, i nigdy im tematu do rozmowy nie brakło.

Pewnego wieczora mąż mój namówił kapitana, by urządził tańce na pokładzie, i sam je prowadził, mając Almę za partnerkę. Oboje tańczyli prześlicznie i był to, rzeczywiście, uroczy widok tych rozbawionych par, krecących się w blaskach elektrycznych świateł ponad uciszo-

nemi wodami, które księżyc w pełni muskał, niby srebrny wachlarz.

Sama nie tańcząc, przyglądałam się zdala zabawie i czułam się prawie szczęśliwą. W naiwności mego ducha byłam prawie wdzięczną Almie za tę nadzwyczajną zmianę, jaka zaszła w moim mężu: to też, gdy po przybyciu do Port Saidu rzekł do mnie:

— Pani Lier nie ma zamówionego mieszkania w Kairze; jak myślisz, kochanie, może zatelegrafuję do naszego hotelu? — przystałam skwapliwie, dziwiąc się tylko, że mnie o to pytał.

Hotel nasz był niegdyś pałacem zmarłego khedywa, zbudowanym na cześć jakiejś cesarzowej, i znajdował się na małej wysepce w dalszej części Nilu.

Tu, mając oddzielne pokoje, jak w Londynie, spędziliśmy trzy miesiące. Po raz pierwszy przyjrzałam się wielkoświatowemu życiu, i zbyt młoda i niedoświadczona, by dojrzeć ciemną stronę tego jasnego obrazu, byłam nim z początku zachwycona.

Pięknie i bogato przystrojone kobiety: ciemnowłose francuzki, płowe niemki, poważne angielki, powabne amerykanki, angielscy oficerowie w swych świetnych mundurach, dyplomaci całego świata — wszystko to tworzyło dziwnie barwny i malowniczy zespół, na tle błękitnego nieba i złocistych promieni słońca. Alma i mój mąż byli tu w swoim żywiole. Podżartowywali też sobie ciągle z mojej naiwności i moich klasztornych pojęć.

— Co też nasza droga Maryjka myśli o tem? — pytała nieraz Alma ze znaczącym uśmiechem na widok rzeczy, które napozór wydawały się zgoła niewinnemi.

Po pewnym czasie zaczęłam doznawać uczucia jakiegoś nieokreślonego niepokoju odnośnie do Almy. Właściwie nie mogłam jej nic zarzucić. Przeciwnie, była dla mnie z każdym dniem serdeczniejszą, nazywając mnie swoją „najdroższą, najsłodszą pieszczotką" i „najlepszą przyjaciółką w świecie". Ja jednak zwolna nabierałam przeświadczenia, że pomiędzy nią a moim mężem wytworzyło się pewne porozumienie, w którem ja nie biorę udziału. Niejednokrotnie zauważyłam ich oczy, szukające się wzajemnie; to znów usłyszałam, jak coś mówili do siebie o mnie po francusku, w mniemaniu, że nie rozumiem tego języka, gdyż, nie będąc pewną mojej wymowy, nie posługiwałam się nim nigdy.

Może to zaostrzyło mój zmysł spostrzegawczy, poznałam bowiem, że obrałam zupełnie błędną drogę w stosunku do mego męża.

Zamiast samej chcieć się w nim zakochać, powinnam była starać się, by on zakochał się we mnie.

A na pytanie, jak się wziąć do tego, znajdowałam jedną rzucającą się w oczy odpowiedź: muszę stać się taką kobietą, jaka się memu mężowi podoba; innemi słowy, muszę naśladować Almę.

Postanowiłam zastosować się do tej wskazówki i odgrywać rolę tak przeciwną mojej naturze i wychowaniu.

Gdy myślę o tych niedołężnych wysiłkach, chce mi się jednocześnie śmiać i płakać; tyle było w nich naiwności i tyle zmarnowanych najlepszych chęci i głębszych uczuć.

Rozdział XXXVIII.

Dotychczas obywałam się bez własnej, osobistej obsługi, lecz teraz postanowiłam przyjąć pokojówkę. Znalazłam ją łatwo. Nazywała się Price. Była to trzydziestoletnia, pospolitego wyglądu kobieta, o przenikliwych, czarnych oczach, która, gdym ją godziła, pragnęła nadewszystko wpoić we mnie przekonanie, że „nic nigdy nie widzi".

Wprędce jednak zauważyłam, że widziała wszystko, a zwłaszcza to, co się odnosiło do mego stosunku z moim mężem i że na swój sposób (niezbyt pochlebny) tłómaczyła sobie rozdzielność naszych sypialni.

Spostrzegła również stanowisko, jakie Alma zajęła pomiędzy nami, i, tłómacząc je także na swój sposób, nie szczędziła mi drobnych, szpileczkowych ukłuć.

Przy pomocy tej doświadczonej niewiasty zaczęłam obiegać sklepy i magazyny. Pomna na list mego ojca, szastałam pieniędzmi na wszystkie strony. Nakupiłam sobie mnóstwo kosztownych tualet, i chodziłam stroina w klejnoty, niczem sklep jubilerski.

Czyniłam to dla mego męża, to i wiele innych rzeczy, o których dawniej nawet mi się nie śniło. Dla niego szlifowałem paznogcie, nacierałam się różnemi kremami i wonnościami, a nawet różowałam sobie usta. Wszystko, aby dorównać Almie, lub, jeżeli by to było możliwe, prześcignąć ją jeszcze.

Price zmiarkowała to wlot, i pewnego wieczora, gdy mnie ustroiła w jedną z takich nowych, niewygodnych sukien, obejrzała mnie wzrokiem znawczyni i rzekła:

— Jego lordowska mość nie będzie miał chyba oczu, jeżeli *teraz* spojrzy w inną stronę.

Ta uwaga zawstydziła mnie, lecz zarazem sprawiła mi przyjemność i zeszłam na dół z pewną otuchą.

Ale oczekiwania zawiodły mnie. Mąż mój spojrzał na mnie z pobłażliwym uśmiechem, zaś Alma zaczęła unosić się nademną w sposób, który mi się wydał nieco podejrzanym, i rzekła:

— Nasza Maryjka wyrabia się, nieprawdaż?

Mimo to, nie dałam za wygraną. Bez żadnego przygotowania do tak niebezpiecznego przedsięwzięcia, rzuciłam się w wir zabaw, sportów, pikników na piramidach, balów publicznych w różnych hotelach i na wysepce Roda, gdzie, jakoby zgodnie z podaniem, córka Faraona znalazła Mojżesza w sitowiu.

Mężczyźni zaczęli mi nadskakiwać, zwłaszcza komendant cytadeli, piękny typ szkoła, który zajął się mną nie na żarty. Lecz ja myślałam tylko o moim mężu, raz sobie postanowiwszy dokazać tego, by zapomniał o Almie i rozkochał się we mnie.

Był to beznadziejny trud i przysporzył mi wiele gorzkich rozczarowań. Pewnego dnia jubiler, u którego oglądałam brylantowy naszyjnik, bardzo w moim guście, powiedział mi pod sekretem, że mąż mój targował go już, lecz nie mógł go kupić, bo był dla niego o tysiąc franków zadrogi. W naiwności mojej przekonana, że miał to być podarunek dla mnie, zapłaciłam owe tysiąc franków nadwyżki, prosząc jubilera, by wrzekomo godząc się na cenę, jaką dawał mój mąż, posłał mu ten naszyjnik..

DCN.

# Wiadomości literackie.

## Z literatury polskiej.

SEBASTYANA FABIANA KLONOWICZA. *„Flis", „Worek Judaszów" i inne polskie pisma w wyborze.*

W biblioteczce klasyków polskich, którą redaguje Konrad Drzewiecki, zjawił się wybór celniejszych utworów Klonowicza w poprawnej i estetycznej edycyi. Sumienne zapiski zaznajamiają czytelnika z historyą poszczególnych utworów, jak również i losów, przez jakie przechodziły. Tabela bio- i bibliograficzna w krótkim i ścisłym zarysie daje dzieje życia i jego twórczości. Od 1880 roku jest to jedyna nowa edycya utworów Klonowicza. Całkowitej krytycznej edycyi dotychczas brak, choć to już zgórą 300 lat, jak Klonowicz żyć przestał. Dla miłośników słowa polskiego wydanie Drzewieckiego wystarczy jednak, by zapoznali się z rodzajem twórczości Acernusa. „Worek Judaszów" zainteresuje przytem każdego polaka.

MIKOŁAJA REYA *„Wybór Pism wierszem i prozą".* Pod redakcyą K. Drzewieckiego.

Imć Pan Rey z Nagłowic jeszcze dziś może wesołym swoim śmiechem poruszyć do łez nawet skończonego tetryka, o ile, rozumie się, ten tetryk należy do prześwietnej nacyi, nad brzegiem Wisły żyjącej. Humor bowiem Reyowy to rasa lechicka. Jego trzeźwe na świat patrzenie, jego cała życiowa filozofia — toż to tony, które żyły i żyć będą po wieczne czasy w duszy narodu naszego. Edycya Drzewieckiego tak dla szerokich warstw czytelników, jak i dla użytku szkolnego, jest doskonale opracowana. Przedruk biografii Reya, napisanej przez Trzecieskiego, świetnie uzupełnia krótki, treściwy konspekt życia, czynów i dzieł autora „Żywota człowieka poczciwego"